

# ZA WOLNOŚĆ MOJĄ I WASZĄ!

MONIKA JABŁOŃSKA

„Spieszę się, naprawdę się spieszę”, „Nie mam teraz czasu, pogadamy później, przepraszam”... Znow się na tym złapałam. Powtórne przypadkowe spotkanie koleżanki i ta sama wymówka. To nawet nie była wymówka, tylko szczerza prawda. To dało mi do myślenia. Przecież później też nie pogadamy, bo znow znajdzie się coś, czemu nadam priorytet. Ciągłe biegne, czasem muszę przyspieszyć, coraz rzadziej zdarza mi się zwalniać. Tłumaczę mi, że zbyt wiele chcę. Poniekąd mają rację, przecież zawsze mogę z czegoś zrezygnować, jestem wolnym człowiekiem. Tak, wolnym... jednak od jakiegoś czasu zastanawiam się, co znaczy ta moja wolność. Sprawdzam w Słowniku Języka Polskiego. Tam wolność rozumiana jest trojako. Oprócz rozumienia wolności w sensie państwowym i prawnym definiowana jest ona także na płaszczyźnie indywidualnej, jako „możliwość podejmowania decyzji zgodnie z własną wolą, nieskrępowanego działania, uwarunkowana ogółem czynników społeczno-moralnych, niezależność osobista, swoboda, całokształt warunków, stosunków poza więzieniem, zamknięciem”. Owszem, jestem wolnym człowiekiem, żyję w wolnym kraju, mam zagwarantowaną wolność prawnie, nie jestem pozbawiona wolności w sensie fizycznym, mogę podejmować decyzje zgodnie z własną wolą, przy poszanowaniu ogólnych zasad moralnych. Dlaczego jednak czuję się tak bardzo ograniczona? Moje decyzje nie zawsze są wolne, są determinowane takim czy innym przymusem, wpływają na nie decyzje innych ludzi, ich oczekiwania, to rodzaj kompromisu. Czy to, do czego dążę to jest na pewno to, czego ja sama chcę, czy też to, czego ode mnie oczekują? Jak dalece jestem sterowana przez jakieś procesy makrospołeczne, uwarunkowania ekonomiczne? Jak pośrednio oddziałują na mnie plany, strategie tworzone przez „władających” tym światem? Kiedy się nad tym zastanawiam, widzę, że autonomiczność moich decyzji jest mitem, mitem w który wierzą zwykli ludzie, bo łatwiej żyć w ułudzie, błogiej nieświadomości, złudzeniu wolności... Ryszard Legut-

ko w „Traktacie o wolności” wyróżnia m.in. wolność negatywną, czyli wolność od tego co nas ogranicza, a przecież ogranicza mnie wszystko, bo żyję w świecie kultury. Rousseauowski „człowiek natury” nie ma już racji bytu, „człowiek kultury” zwyciężył. Złożyliśmy swoją wolność na ołtarzu bezpieczeństwa. Jednak ten człowiek nie przewidział chyba tego, że z tej drogi nie ma odwrotu. Przy rosnącej komplikacji życia społecznego potrzebne są coraz to nowe reguły, zakazy, nakazy, powinności, które oplatają człowieka coraz gęstszą siecią.

Czasem oglądam programy o życiu plemion, o których istnieniu nie miałam pojęcia. Może nie wytworzyli oni imponującej państwowości, ale w ich organizacji życia jest coś fascynującego, jakaś pierwotność, prostota, którą my, skażeni cywilizacją zachodnią dawno utraciliśmy i dusimy się w sosie własnym, w sosie ograniczeń, który sami sobie przyrządziliśmy. Bez dostosowania się do nich cały ten skomplikowany układ wolności jednostkowej runąłby z hukem. Także Emil Cioran zwrócił na to uwagę. Mawiał, że cywilizacja jest dziełem człowieka, a zarazem szaleństwem. Zainteresowanie jakim ludzie cywilizowani darzą ludy zwane zacofanymi jest podejrzane. W imię troski o nich i umożliwienie im dalszego rozwoju chcemy im narzucić naszą kulturę (nasze ograniczenia), nasze „oświecenie”, bo im po prostu zazdrościmy. Jakbyśmy chcieli, aby dzielili z nami kulturowe cierpienie. Być może Freud miał rację definiując kulturę jako „źródło cierpienia”. Cioran jest pewien, że „w dniu, w którym zniknie ostatni niepiśmienny, będziemy mogli przywdziać żalobę po człowieku”.

Powrót do wolności jest w zasadzie niemożliwy, musiałby wiązać się ze świadomym wyborem samotności, rezygnacji z wszelkich „udogodnień” tego świata. Niewielu na to stać. Cywilizacja jest jak narkotyk. Ludzie nie potrafią z niej zrezygnować. Ekstremalnym przypadkiem wolności negatywnej, tej od czegoś, jest przypadek Robinsona Crusoe. Jednak maksymalna wolność staje się w końcu jej przeciwieństwem – więzieniem. Jak



zatem wyznaczyć przestrzeń naszej wolności w świecie, w którym żyjemy? Określić ją tak, aby każdy miał swoją przestrzeń, swoje pole manewru. Ta wolność tworzy się w obszarze międzyludzkim, w budowaniu relacji z innymi ludźmi, ona teraz nie jest nam dana, musi być wypracowana. Niestety, odnoszę wrażenie, że jesteśmy samotni wśród ludzi, ponieważ ciągle pogoń za czymś nie pozwala nam na budowanie relacji z ludźmi. To proces zbyt czasochłonny. Relacje są coraz bardziej powierzchowne, nie potrafimy słuchać siebie nawzajem, nie potrzebujemy bagażu cudzych problemów. Pewien znajomy Amerykanin podzielił się kiedyś ze mną wynikami swojego prywatnego eksperymentu. Uważa się, że Amerykanie są ludźmi bardzo otwartymi i troszczą się o samopoczucie swojego rozmówcy, chcą wiedzieć co u niego. Mowa tu o popularnym „How are you?”. Zazwyczaj odpowiedź jest krótka i pozytywna. Jak bardzo powierzchowne i kurtuazyjne jest to pytanie dowiódł mój znajomy. Udzielając odpowiedzi na powyższe pytanie postanowił dzielić się ze swoimi rozmówcami jego aktualnymi przeżyciami. W efekcie odpowiedzi były dłuższe i nie zawsze wska-

zywały na jego dobre samopoczucie czy dobry stan emocjonalny. Przekonał się, że 100% rozmówców nie zamierzało podejmować tematu i próbowało zakończyć rozmowę jak najszybciej, tłumacząc się brakiem czasu. Żyjemy obok siebie, we własnej klatce strzeżonych osiedli, uzależnieni od telewizji i Internetu. Pamiętam jak bardzo zbulwersowało mnie, kiedy usłyszałam, że w Stanach Zjednoczonych coraz bardziej popularne staje się wynajmowanie ludzi, aby zostać po prostu, najzwyczajniej w świecie wysłuchanym, bo ludzie nie mają z kim podzielić się swoimi troskami, kłopotami, radościami, przeżyciami. Zawsze wydawało mi się, że taką rolę powinni odgrywać przyjaciele, rodzina... Jednak coś się dziwi, nastawienie na sukces indywidualny, pogoń za pracą, pieniędzmi, uznaniem nie pozostawiają nam czasu na budowanie bliskich relacji z ludźmi. I ten brak relacji jest właśnie więzieniem. Nawet dni wolne od pracy, które powinny, moim zdaniem, służyć do spotykania się z ludźmi, nie spełniają już swoich zadań. Moi znajomi albo wtedy pracują, albo nadrabiają zaległości w innych polach, bo podczas zapracowanego tygodnia nie zdążyli. Coraz trudniej umówić się na kawę, na piwo. O spotkaniu w większym gronie można tylko pomarzyć. Człowiek nie ma dla siebie wolnej chwili, a jego czas wolny pełen jest rozgorączkowania i napięcia. W ciągu dnia zastanawiam się nad tym, co będę musiała zrobić po powrocie z pracy, co mnie czeka w domu, już układam sobie plan działania, a co gorsza, mam wrażenie manowania czasu. To jest jakaś udręka. „Kartorznik na urlopie” to jest dobre określenie. Każda chwila spędzona nad czymś bezproduktywnym, niewymiernym np. wyjście do kina, jest dla mnie stracona. Czuję się jak zapędzona w kozi róg. Gdyby tylko człowiek potrafił uwolnić się od tego narcyzowatego pragnienia bycia podziwianym, pragnienia życia na przyzwoitym poziomie (który to poziom wyznacza ktoś inny, nie ty sam!), przestałby przekraczać samego siebie, zaakceptował swoje ograniczenia i zadowolił się tym, czym jest i tym, co ma. Może byłby

szczęśliwszy. Szczęśliwy z przebywania z ludźmi, wolny.

Wszędzie słyszę tylko, że trzeba iść naprzód, nawet ponad siedemdziesięcioletnia ciotka mówi mi, że innowacja, teraz liczy się tylko innowacja. Zdaje się, że jesteśmy niewolnikami postępu, który może okazać się drogą do upadku, jesteśmy niewolnikami urzędów, maszyn, miast. Nie ma drogi powrotnej, ba, nie można nawet się zatrzymać, ponieważ siła rozpędu otoczenia zmiecie cię z powierzchni ziemi. Uwolnić od tego wszystkiego mogłaby nas tylko jakaś totalna katastrofa. Przecież kiedyś musi nastąpić kolejne BUM, które tak jak było początkiem wszystkiego, będzie końcem wszystkiego. Musi istnieć jakiś stan maksymalnego nasycenia, bo nie wydaje mi się, aby świat był nieskończenie rozciągły. Człowiek to chyba najnieszczęśliwsza z istot. Zewnętrznie jest zwierzęciem, ale został stworzony na obraz i podobieństwo Boga. Tkwinym w jakimś rozdarciu, dążymy do wymiaru gigantycznego, mamy jakiś śmieszny kompleks boskości, chcemy pokazać, że jesteśmy więksi niż w rzeczywistości. Tymczasem jak mawia Cioran „zawszeni i pogodni powinniśmy trzymać się towarzystwa zwierząt, kucać sobie u ich boku jeszcze przez tysiąclecia, wdychać woń stajni raczej niż laboratoriów, umiarać z powodu chorób, a nie leków.” Przecież sama łapię się na tym, że moje potrzeby są sztucznie generowane. To cywilizacja tworzy je we mnie. Wcale nie potrzebuje nowej sukienki na kolejny ślub w rodzinie, poprzednią miałam na sobie jeden raz, nie zdążyła się zniszczyć. Jednak nie mogę jej założyć powtórnie, będą tam ci sami goście, wypada kupić coś nowego... Stąd bierze się nasze zniewolenie, konsumpcja została zinfantylizowana, konsumenci zachowują się jak dzieci. Nie zauważają, że ich potrzeby są sztucznie generowane przez gospodarkę. Mało komu potrzebne towary luksusowe zalewają rynek, kupią je bogaci. A biedni niech giną bez mąki, chleba i butów, i tak ich na to nie stać. Cała nasza obecna rzeczywistość bazuje na ludzkiej skłonności do tego, co nierzeczywiste, niepotrzebne.

